
ANNALES
UNIVERSITATIS MARIAE CURIE-SKŁODOWSKA
LUBLIN – POLONIA

VOL. XII, 2

SECTIO L

2014

Instytut Muzykologii Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie

ZYGMUNT M. SZWEYKOWSKI

*Całe życie z muzykologią.
Wspomnienia uniwersyteckie z Poznania i Krakowa*

All My Life with Musicology.
University Memories from Poznań and Kraków

Na ukształtowanie moich zainteresowań naukowych mieli wpływ profesoria Adolf Chybiński i Józef Chomiński, choć uczęszczając do liceum w Poznaniu, nie byłem jeszcze zdecydowany, co będę studiował. Bardzo pociągała mnie egiptologia i historia sztuki, a także ... architektura. Natomiast muzykologii trochę się bałem ze względu na opinię o profesorze Chybińskim, jaką rozgłaszali jego lwowscy uczniowie, a głównie profesorowie Chomiński, Hieronim Feicht, Zofia Lissa i Stefania Łobaczewska; opowiadali o niezwyklej surowości i niesłychanych wymaganiach profesora. A moja edukacja w okupowanej Warszawie, i następnie – po Powstaniu – w Częstochowie ze względu na represje okupanta była bardzo niedoskonała. Bałem się więc owej surowości i wymagań profesora Chybińskiego, a także języka łacińskiego, o którym miałem bardzo słabe pojęcie¹. To Tadeusz Strumiłło, z którym już uprzednio kolegowałem przez dwa lata liceum, namówił mnie jednak na muzykologię. Ale przecież i o muzyce nie-

¹ W pierwszym roku nauki języka łacińskiego mieliśmy młodą, wspaniałą nauczycielkę (panią Moraczewską), która tak umiała uczyć, że dla mnie, tak bardzo niezdolnego do języków, łacina wydawała się bardzo łatwa i nie sprawiała mi wielu trudności. Niestety, po pół roku została schwytana przez Niemców w ulicznej łapance, następnie wywieziona do Oświęcimia i tam zamordowana.

wielkie miałem pojęcie. Byłem wprawdzie osłuchany, bo przez całą okupację – a i przez długie lata potem – skupowaliśmy (ze starszym bratem) płyty z nagraniami wszelkiej muzyki tak zwanej klasycznej i zdołaliśmy skompletować dość duży zbiór (kilkaset płyt), lecz w zasadzie moja znajomość muzyki była na poziomie osłuchanego melomana. Mimo to zdecydowałem się przystąpić do egzaminu wstępnego na muzykologię.

Studia i pierwsze lata pracy w Poznaniu

Wybrany przeze mnie temat egzaminu pisemnego na Wydział Humanistyczny (tak wtedy nazywał się ten wydział) Uniwersytetu Poznańskiego brzmiał: *Szeroki dostęp do morza i jego znaczenie*. Egzamin ustny, który zdawało się następnie przed grupą profesorów z Rady Wydziału, poszedł mi bardzo słabo, bo pytało mnie o dawną muzykę polską, która wtedy mnie zupełnie nie interesowała. Egzaminu wstępnego na uniwersytet jednak nie zdałem, ale nie ze względów merytorycznych, tylko ze względu na interwencję sekretarza Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, który był negatywnie ustosunkowany do mojego ojca (wielokrotnie powtarzał, mówiąc o mnie i o starszym bracie, który był wtedy jeszcze studentem botaniki: „niedaleko pada jabłko od jabłoni”). Ale na studia ostatecznie się dostałem, z kolei dzięki interwencji ... woźnego z Dziekanatu Humanistycznego, a więc z dziekanatu ojca. I właśnie ów woźny, który spędzał każde wakacje nad morzem, przedstawiając się tam zawsze jako zasłużony profesor Uniwersytetu Poznańskiego, przypisał sobie tę zasługę, że dostałem się na uniwersytet.

Gdy zostałem studentem, był rok akademicki 1947/1948, drugi rok działalności Zakładu Muzykologii w Poznaniu po wojnie. Jakież było moje zdumienie, gdy okazało się, że profesor Chybiński jest zupełnie innym człowiekiem niż głosiła to o nim legenda krążąca w Warszawie i w Poznaniu. Nic z surowości, wymagania w zasadzie niewygórowane, bardzo przyjazny dla studentów, choć potrafił być również i złośliwy.

Zajęcia i organizacja studiów były przedwojenne. Studia trwały cztery lata, rok dzielił się na trymestry, a na całych studiach zobowiązani byliśmy do zdania 8 egzaminów i 21 kolokwii (niektóre i pisemne, i ustne). Wszystkie egzaminy i kolokwia (z wyjątkiem przedmiotów niezwiązanych z muzykologią) przyjmował sam profesor i sam wpisywał ocenę do indeksu. Nie było żadnego marksizmu czy nauki o Polsce współczesnej ani języka rosyjskiego (nie było zresztą jakiegokolwiek lektoratu językowego). Studenta obowiązywało uczęszczanie na zajęcia w liczbie siedmiu godzin tygodniowo, a więc było wyraźne nastawienie – tak

jak to powinno być na uniwersytecie – na samodzielne studia. Brak było jednakże podręczników. Biblioteka pozostała po niemieckiej muzykologii była bardzo niewielka, książki – wyłącznie w języku niemieckim – pochodziły przeważnie z początków XX wieku. Żadnych wydawnictw amerykańskich czy angielskich, a przecież poszczególne tomy historii muzyki serii Nortona zaczęły wychodzić już od roku 1940; i żadnych też zastanych książek w języku polskim. Jedynym podręcznikiem historii muzyki, który mieliśmy do dyspozycji, był *Handbuch der Musikgeschichte* (1924) pod redakcją Guido Adlera – jeden egzemplarz na przeszło 30 osób(!), w dodatku większość z nas bardzo słabo znała język niemiecki.

W takiej też sytuacji profesor Chybiński rozpoczął wykłady z historii muzyki. Co trymestr przedstawiał inny temat, jak na przykład: *Wstęp do teorii stylów muzycznych*, *Teoria i historia fugi*, *Sonata i koncert instrumentalny okresu baroku*, *Rondo i forma sonatowa klasyków* i cały szereg podobnych, ciekawych tematów. Były one przedstawiane bardzo syntetycznie, każdy bowiem wykład Profesora trwał tylko jedną godzinę tygodniowo przez jeden trymestr (w późniejszych latach niektóre wykłady były dwugodzinne na tydzień). Jak z tego widać, nasze przygotowanie do egzaminów nie było najlepsze. Z dzisiejszej perspektywy – jak sobie przypomnę moje egzaminy – widzę, że miałem podówczas bardzo mętne pojęcie o historii muzyki, a o łagodności Profesora niech świadczy fakt, że z owych kolokwiów i egzaminów miałem zawsze stopień „bardzo dobry”.

Będąc jeszcze studentem (III roku) – jak gdyby na ironię – na *prima aprilis* roku 1950 dostałem etat asystenta na Uniwersytecie Poznańskim (dzisiaj byłoby nie do pomyślenia). I właśnie od tej daty, od *prima aprilis* 1950 roku rozpoczęła się moja kariera uniwersytecka, trwająca nieprzerwanie pięćdziesiąt pięć lat(!), do roku 1999 na etacie, a następnie do roku 2004 na kontrakcie.

Wówczas, w latach pięćdziesiątych, moje zainteresowania naukowe skupiały się na muzyce współczesnej, jeśli zaś chodzi o muzykę dawniejszą, interesowałem się tylko muzyką instrumentalną (moja praca magisterska dotyczyła symfonii Josepha Haydna). Radykalnym przełomem w moich zainteresowaniach naukowych okazała się konferencja zorganizowana z inicjatywy prof. Zofii Lissy, która odbyła się w Krakowie, już po śmierci profesora Chybińskiego. Było to najprawdopodobniej na początku 1953 roku. Uczestniczył w niej jeszcze prof. Zdzisław Jachimecki oraz zaproszeni przez prof. Lissę młodzi muzykolodzy, do których i ja należałem. Przedmiotem konferencji był problem przygotowania nowoczesnego (co znaczyło marksistowskiego) podręcznika historii muzyki powszechnej i polskiej, głównie siłami młodych, prawdopodobnie pod opieką i redakcją prof. Lissy.

Na konferencji problemy były omawiane chronologicznie. Dyskusja rozpoczęła się od średniowiecza i po kolei omawiane były poszczególne okresy. Mimo

że – jak wspomniałem – nie miałem wielkiego pojęcia o historii muzyki, to jednak poziom merytoryczny tej dyskusji, łącznie z wypowiedziami profesora Jachimeckiego, wręcz mnie przeraził². Dość, że wówczas zrozumiałem, że jako jedyny i ostatni asystent profesora Chybińskiego mam moralny obowiązek kontynuować właśnie jego badania i doprowadzać do źródłowych wydań muzyki staropolskiej, choć wtedy nie miałem jeszcze najmniejszego pojęcia, jak te edycje realizować, zarówno w sensie merytorycznym, jak technicznym.

W październiku tego samego roku została wydana książeczka o muzyce polskiego odrodzenia³, której oficjalnymi autorami byli Zofia Lissa i Józef Chomiński. W przedmowie autorzy napisali:

„Wywody nasze opieramy głównie na źródłach znanych już dawniej, które jednak musieliśmy poddać nowej analizie i interpretacji, by wydobyć właściwy ich sens ideologiczny, właściwe ich klasowe oblicze, by wykazać ich postępową lub też regresywną rolę w kulturze Odrodzenia w Polsce”⁴.

Treść tej książeczki przyczyniła się do mego postanowienia, by porzucić zajmowanie się muzyką współczesną⁵, a wyspecjalizować się w muzyce dawnej.

Niezależnie od tego, jakie istnieją dziś poglądy (negatywne czy pozytywne) na temat naukowej działalności profesorów Chybińskiego i Jachimeckiego oraz stałego konfliktu pomiędzy nimi, trzeba zawsze brać pod uwagę ich charakter, temperament, osobowość, a także środowiska, jakie kształtowały ich osobowości. Były to bowiem indywidualności diametralnie różne, o przeciwstawnych charakterach, ale jednocześnie uzupełniające się. Gdyby szerokie horyzonty i tendencje do ujęć całościowych Jachimeckiego połączyć ze ścisłością i szczegółowością analizy źródłowej Chybińskiego, mielibyśmy niemal idealny model muzykologa-naukowca. Jednakże niewiele by nam to dało, by zrozumieć, jakimi byli ludźmi, bo we wszystkich swych publikowanych wypowiedziach zachowywali się właśnie bardzo oficjalnie. W ich korespondencji⁶ bardzo wyraźnie widać, że jako młodzi ludzie, jeśli nawet mówili o swoich błędach, pozostawali przyja-

² Muszę dodać, że ten mój negatywny ówczesnie stosunek do wypowiedzi profesora Jachimeckiego wynikał przypuszczalnie ze stanowiska profesora Chybińskiego, który – trzeba przyznać, że bardzo dyskretnie, aczkolwiek nieraz złośliwie (a rozumieli to tylko wtajemniczeni) – korygował „błędy w pewnych polskich publikacjach”.

³ Z. Lissa, J. Chomiński, *Muzyka polskiego Odrodzenia*, Warszawa 1953.

⁴ *Ibid.*, s. 5.

⁵ Kilka „Warszawskich Jesieni”, na które jednak w następnych latach regularnie uczęszczałem, zdecydowanie utwierdziły mnie w tym postanowieniu; jest to jednakże osobny problem.

⁶ Zob.: *Troski i spory muzykologii polskiej 1905–1926. Korespondencja między Adolfem Chybińskim i Zdzisławem Jachimeckim*, oprac. K. Winowicz, Kraków 1983.

ciółmi, a z czasem ich przyjaźń się utrwałała, co widać wyraźnie w nagłówkach listów, które na początku brzmiały „Szanowny Kolego”, a w roku 1911: „Kochany Zdzisiu” lub „Kochany Adolfie”. Choć nie wszystkie listy były jednak takie „grzeczne” – bo bywał również używany zupełnie inny język. Chybiński piszący do Jachimeckiego używa – jak na korespondencję – mocnych słów. Na przykład:

„Ależ do kroćset tysięcy diabłów czemuż Pan nie wstrzyma za pomocą przyjacielskiej rady p. Noskowskiego od plwania na tego kompozytora, który nam jest drogi [...] Czytał Pan, co się w «Czasie» teraz dzieje? Co tam w rubryce muzycznej ten błazen opasły wypisuje, cytując zdania różnych... warszawskich chłystków?”⁷.

Jednak z chwilą, gdy zaczynają publikować recenzje ze swych prac, w których wytykają sobie wzajemnie błędy i niewiedzę, utrzymują jeszcze korespondencję, ale od maja roku 1912 nagłówki utrzymane są już w bardziej oficjalnym stylu „Szanowny Kolego”, następnie jeszcze bardziej oficjalne: „W. Szanowny Panie Kolego”. Później, gdy obaj zostali kierownikami Katedr Muzykologii – stosunki te prawie całkowicie zostały zerwane.

Nie mogę nic powiedzieć o profesorze Jachimeckim – niemal go nie znałem. U profesora Chybińskiego na pewno wielką rolę w niechęci do Jachimeckiego odgrywał fakt, że on, krakowianin, musi żyć we Lwowie, natomiast lwowianin działa w jego ukochanym Krakowie. Z pamiętników Chybińskiego wynika bowiem, że miał dwie wielkie miłości – Wawel i Tatry. Sam Chybiński określał to w ten sposób:

„Nie wyobrażam sobie, by w Polsce istniały piękniejsze i czcigodniejsze strony niż Wawel i Tatry. W każdym razie w moim sercu i w moim przekonaniu”⁸.

On, który ze względu na bardzo słaby wzrok (bez okularów niemal nic nie widział) z takim trudem i samozaparciem pogłębiał swą wiedzę, nie mając (poza Janem Drozdowskim, nauczycielem muzyki) żadnego towarzystwa, z którym mógłby dyskutować i wymieniać poglądy (jego ojciec był szewcem, miał sklep na ul. Floriańskiej 32) – musiał opuścić ukochany Kraków! To był problem, który Chybińskiego nękał przez całe życie.

⁷ List Chybińskiego do Jachimeckiego z Monachium z dnia 14 kwietnia 1907 roku, *ibid.*, s. 141.

⁸ A. Chybiński, *W czasach Straussa i Tetmajera. Wspomnienia*, Kraków 1959, s. 18.

Kraków

Sytuacja muzykologii poznańskiej po śmierci profesora Chybińskiego była właściwie tragiczna: Jadwiga i Marian Sobiescy już w roku 1954 przenieśli się do Warszawy, ja byłem za młody, by prowadzić poważne prace naukowe, dr Maria Szczepańska ze względów zdrowotnych nie mogła się udzielać w Zakładzie, wstrzymana została też rekrutacja. Ponieważ Tadeusz Strumiłło już wcześniej wrócił do swego rodzinnego Krakowa i znalazł pracę w reorganizującym się Polskim Wydawnictwie Muzycznym, zaproszono i mnie na stanowisko redaktora we wspomnianym wydawnictwie⁹. I tak, pierwszego stycznia 1954 roku, po dwudziestu pięciu latach, wróciłem do swego rodzinnego, a dotychczas przecież całkowicie nieznanego mi miasta. Sam fakt, iż byłem ostatnim asystentem profesora Chybińskiego – bez żadnej mojej zasługi – sprawił, że uważano mnie za znakomicie wykształconego (mimo że nie miałem przecież jeszcze wtedy żadnych publikacji!), przygotowanego do poważnej pracy naukowej, co zaowocowało tym, że jeszcze w 1954 roku profesor Stefania Łobaczewska, ówczesny kierownik Katedry Muzykologii Uniwersytetu Jagiellońskiego, zaproponowała mi (od 1 października) nie tylko etat asystenta w tej katedrze, lecz także – obok ćwiczeń z paleografii i analizy muzycznej – prowadzenie wykładów(!) z historii muzyki europejskiej i polskiej. Propozycję tę przyjąłem bez wahania, lecz nie zdawałem sobie wówczas jeszcze sprawy, jak trudne było to zadanie; nigdy wcześniej wykładów nie prowadziłem. Była to dla mnie znakomita szkoła i można powiedzieć, że właściwie od tego dopiero czasu zacząłem prawdziwe studia, w dodatku całkowicie samodzielne – do wszystkiego musiałem dojść sam. Na szczęście biblioteka Katedry Muzykologii w Krakowie była bez porównania bogatsza niż w Poznaniu¹⁰, jakkolwiek książek nowych nie było zbyt wiele.

Jeszcze w pięćdziesiątych latach na Rynku Głównym w Krakowie (tam, gdzie obecnie znajduje się księgarnia muzyczna) istniała księgarnia wyłącznie z książkami zagranicznymi, a co jeszcze ważniejsze – teoretycznie każdą książkę można było w niej z zagranicy sprowadzić; nie było jeszcze żadnych ograniczeń ideologicznych. Wtedy to właśnie mogliśmy (z żoną) uzupełnić naszą prywatną bibliotekę o takie książki, których w bibliotece Katedry jeszcze nie było. Nie

⁹ Dopiero w kilkadziesiąt lat później, będąc już na emeryturze, dowiedziałem się, że ówczesny dyrektor Polskiego Wydawnictwa Muzycznego, Tadeusz Ochlewski, który był w bardzo dobrych stosunkach z prof. Chybińskim prosił go, aby podał mu on nazwiska swych uczniów, którzy mogliby przyjechać do Krakowa i objąć stanowiska redaktorów w PWM. Okazuje się, że Chybiński podał dwa nazwiska: Strumiłły i moje.

¹⁰ Według inwentarza z roku 1953 biblioteka Katedry Muzykologii UJ obejmowała 5500 pozycji inwentarzowych.

pamiętam dokładnie, w którym roku ten kontakt z Zachodem całkowicie został zakazany, ale zdążyliśmy do tego czasu zaopatrzyć naszą prywatną bibliotekę w książki, które służyły nam aż do ostatnich lat. Tak więc, zarówno studenci mieli już pewien zasób pomocy naukowych do przygotowywania się do egzaminów, jak i kadra do poważnej pracy naukowej.

W roku akademickim 1952/53 na studiach uniwersyteckich (nie tylko muzykologicznych) został wprowadzony pięcioletni tok studiów, w związku z czym musiała być powiększona kadra dydaktyczna. Ze względu na brak odpowiednio przygotowanych muzykologów kandydatami byli głównie dotychczasowi absolwenci muzykologii krakowskiej, co spowodowało dość długo trwającą, bo do roku 1967, niepożądaną mobilność kadry dydaktycznej. W 1954 roku zostało zatrudnionych kilka osób, jak na przykład: doc. Aleksander Frączkiewicz, mgr Stanisław Lachowicz, mgr Franciszek Skołyszewski, mgr Bogusław Schaeffer, natomiast z uczniów profesora Chybińskiego – Tadeusz Strumiłło i ja. W latach następnych trzeba było zatrudnić jeszcze następne osoby, m.in. w roku 1960 dr Alinę Nowak-Romanowicz, mgra Mieczysława Tomaszewskiego i mgra Wiesława Ciążyńskiego. Niektóre osoby nie pracowały jednakże długo. Już w roku 1956 zginął tragicznie w Tatrach Tadeusz Strumiłło, który był niewątpliwie najzdolniejszym, najlepiej i najciekawiej zapowiadającym się muzykologiem młodej generacji. W roku 1958 musiał odejść Bogusław Schaeffer, a następnie Mieczysław Tomaszewski. Po śmierci profesor Łobaczewskiej w roku 1963 kierownictwo Katedry Muzykologii objął doc. Włodzimierz Poźniak.

Wydawało się, że teraz nastąpi dłuższy okres stabilizacji, że kadra będzie mogła pogłębiać swe kwalifikacje i że zostanie opracowany nowy program nauczania dostosowany do nowych warunków w kraju. Niestety, ministerstwo stwierdziło, że ze względu na brak odpowiedniej liczby samodzielnych pracowników naukowych (jedynym pracownikiem samodzielnym był doc. Poźniak) musi być wstrzymana rekrutacja na pierwszy rok studiów. Wstrzymanie to trwało od roku akademickiego 1963/64. Dzięki usilnym staraniom doc. Poźniaka rekrutację wznowiono dopiero w roku akademickim 1966/67. W styczniu 1967 roku nastąpiła nowa katastrofa – śmierć doc. Poźniaka. Katedra musiała dostać kuratora; funkcję tę otrzymał prof. dr. Mieczysław Gładysz, kierownik Katedry Etnografii Słowian. Muzykologii w Krakowie groziła likwidacja ze względu na brak kadry, nie było bowiem żadnej możliwości, by w krótkim czasie ktoś z pracowników zatrudnionych w Katedrze Muzykologii mógł zrobić habilitację. Już po śmierci doc. Poźniaka musiałem sprawować nieformalnie funkcję kierownika, a prof. Gładysz pozostawił mi całkowitą swobodę; musiałem tylko co jakiś czas dawać mu sprawozdanie z tego, co się dzieje na muzykologii. Władze uniwersyteckie, które były bardzo przychylnie nastawione do muzykologii – jako że ta Katedra

Muzykologii była pierwszą i najstarszą w Polsce – pragnęły ją za wszelką cenę utrzymać.

Uznano, że najlepszym kandydatem na kierownika Katedry będę ja, jako ostatni asystent profesora Chybińskiego, a przede wszystkim dlatego, że miałem już wówczas przeszło trzydzieści drukowanych artykułów (w tym w języku francuskim i angielskim) i parę wydawnictw źródłowych. Ponieważ według ówczesnych przepisów po doktoracie adiunkt mógł zostać mianowany docentem, postanowiono mi dać taką mianowaną docenturę. Pozostawał tylko problem mojego wstąpienia do PZPR, co w moim przypadku w ogóle nie wchodziło w rachubę. Postanowiono więc mnie wyedukować i uświadomić. Dostałem partyjnego opiekuna, który jednak lubił zaglądać do kieliszka, co według ówczesnych moich poglądów całkowicie go dyskwalifikowało. I tutaj rozpoczęła się dosyć długa, w wielu momentach zabawna historia mojej „edukacji”. Dość, że mając we mnie bardzo opornego ucznia, mój opiekun – przystępując do ostatecznego ataku – wysunął stuprocentowy argument nie do odrzucenia. Powiedział: „Jeśli pan się nie zapisze do partii nie będzie pan mógł zostać kierownikiem Katedry”. Na co odpowiedziałem: „Wcale mi na tym nie zależy”. Opiekun aż zaniemówił ze zdumienia i nie zapomnę nigdy jego miny. To, że mi nie zależy ani na stanowisku, ani na wielu przywilejach partyjnych, było dla niego czymś absolutnie niezrozumiałym. Nastąpiły jeszcze długie namowy, tłumaczenia, obietnice, lecz ja nie zmieniłem swego stanowiska; rozstaliśmy się bardzo chłodno. W niedługi czas po tym dostałem nominację na docenta, a następnie na kierownika Katedry Muzykologii, a do końca mego pobytu na uniwersytecie nikt nigdy nawet nie wspomniął o moim ewentualnym wstąpieniu do partii.

Tak więc gdzieś na początku 1971 roku zostałem tym kierownikiem, doskonale zdając sobie sprawę, że na stanowisko kierownicze się nie nadaję. Nie mam odpowiedniego temperamentu, nie potrafię być stanowczy. Nie mam przede wszystkim tak zwanej „silnej ręki”, żadnych też zdolności organizacyjnych. Nie miałem także żadnego doświadczenia w tych sprawach. Od samego początku szukałem więc wśród muzykologów polskich kogoś, kto nadawałby się na kierownictwo katedry i jednocześnie mógłby być zaakceptowany przez władze uniwersyteckie, co wcale nie było łatwe. Nie pamiętam, w którym roku, ale po wielu próbach zaproszenia różnych osób na stanowisko kierownika katedry dr Elżbieta Dziębowska zgodziła się przyjmując tę funkcję i przenieść się do Krakowa. Sprawa była uzgodniona z ówczesnym rektorem UJ, myślałem więc, że będę mógł poświęcić swój czas całkowicie na dydaktykę i pracę naukową. Tak się jednak nie stało. Po pierwsze ówczesny rektor prof. Mieczysław Karaś zapomniął(!), że sprawa zatrudnienia dr Dziębowskiej była z nim omawiana i oświadczył jej, że nic o tym nie wie i że żadnych wolnych etatów nie ma. Dr Dziębowska wstała

i już niemal w drzwiach powiedziała, że nie ona prosi o zatrudnieniu na UJ, tylko, że została zaproszona do Krakowa pismem właśnie z rektoratu. Wtedy dopiero rektor sobie przypomniał całą sprawę. Dla mnie jednakże sprawa nie została rozwiązana pomyślnie, ponieważ zainstalowawszy się w Krakowie dr Dziębowska oświadczyła, że tylko ja mogę być kierownikiem katedry, ona natomiast będzie mi pomagać i służyć radami. Jednakże w praktyce miało to wyglądać tak, że ja miałem być „głową”, a dr Dziębowska „szyją”. Niestety, takie ustawienie naszej współpracy nie tylko mi nie odpowiadało, lecz zaczęło wkrótce rodzić coraz większe konflikty.

Jeśli chodzi o sprawy merytoryczne, podstawowym problemem katedry był oczywiście brak kadry dydaktycznej; nie było również – a to przecież podstawa sprawnej pracy – ani jednego bibliotekarza (pierwszy od 1971 roku), ani sekretariatu (dopiero od 1974(!) roku). Wszystkie te prace początkowo musieli wykonywać dorywczo pracownicy dydaktyczni. Ponadto lokal był więcej niż nieodpowiedni: w budynku zwanym „Pałacem Pusłowskich” do dyspozycji katedry były tylko cztery pokoje w amfiladzie, z których największy (przez który przechodziło się do dalszych pokoi) był zarówno czytelnią, jak i miejscem do załatwiania spraw administracyjnych (później również sekretariatem) i załatwiania wszelkich interesantów. Reszta pokoi na pierwszym piętrze i całe piętro drugie było królestwem prof. Estreichera, „zajęte” przez resztkę mebli Pusłowskich oraz zbiór wielu rzeczy (łącznie z meblami) niewiadomego pochodzenia; lecz wszystkie one były, według zapewnień prof. Estreichera, „zabytkowe” i „bardzo cenne”.

W związku z powołaniem przez rektora 1 lipca 1973 roku w naszej katedrze Ośrodka Dokumentacji Życia i Twórczości Paderewskiego dr Dziębowska postanowiła wywalczyć dla nas dodatkowe pokoje, co oznaczało długą wojnę z prof. Estreicherem, którą dr Dziębowska ostatecznie wygrała. Od tego czasu rozpoczęło się zajmowanie dalszych pokoi, aż do objęcia całego budynku. Potem podjęto remontu, a w rzeczywistości budowę i rozbudowę oficyny. Profesor Estreicher uważał, że sukcesywne zajmowanie poszczególnych pokoi w „Pałacu Pusłowskich”, w istocie wyparcie z budynku prof. Estreichera, jest moją inicjatywą, a dr Dziębowska (jako osoba partyjna) ją tylko realizuje. Ktoś mi opowiadał, że prof. Estreicher bardzo to przeżywał i ponoć chodząc po Plantach na głos mówił do siebie, że „ten Szweykowski chce zrobić karierę na uniwersytecie moim kosztem”. Zastrzegam się, że to może być plotka, bo jeśli chodzi o mnie, to najmniej zależało mi na uniwersyteckiej karierze. Podstawową sprawą dla mnie była zawsze możliwość pracy naukowej i tylko pracy naukowej.

Jak wspominałem, najważniejszą sprawą był brak kadry dydaktycznej, która by mogła realizować na odpowiednim poziomie przepisane zajęcia. Ponieważ nie było jeszcze ograniczeń finansowych, musieliśmy wprowadzić dość dużą

liczbę godzin zleconych realizowanych przez muzykologów z zewnątrz, głównie z Warszawy¹¹, a także i muzykologów z zagranicy. Każdego roku odwiedzało nas co najmniej kilku takich wykładowców, i to z całego świata. Od Japonii, Chin, Indii po Australię, Amerykę Północną i oczywiście większość zachodnich krajów europejskich. Natomiast do przedmiotów praktycznych trzeba było zatrudnić również i wykładowców z krakowskiej Akademii Muzycznej. Wykłady gości zagranicznych odbywały się zazwyczaj po angielsku, niektóre z nich były bieżąco tłumaczone. Tematy niektórych wykładów były bardzo ciekawe, choć zdarzyło się, że pewien profesor, o sławie europejskiej, jako wykład przeczytał swoje hasło z encyklopedii Grove'a. Była to mała kompromitacja, ale profesor nie przejął się tym. Myślał, że w tym dalekim kraju komunistycznym na pewno o encyklopedii Grove'a nie słyszano. Tymczasem nie tylko mieliśmy Grove'a, ale nawet rzeczony hasło stanowiło obowiązkową lekturę dla studentów. Niemniej takie nawet sporadyczne (kilka razy na rok) spotkania z mniej lub bardziej sławnymi profesorami były bardzo pożyteczne dla studentów, nie tylko ze względów merytorycznych, lecz także z uwagi na obycie się z różnymi zwyczajami wykładowców zagranicznych, a przede wszystkim ze względu na możliwość dyskusji w obcym języku. Początkowo nie było nawet mowy, by któryś ze studentów odważył się odezwać po angielsku, ale z czasem niektórzy z nich już zaczęli zadawać pytania.

W roku 1990 prof. Jeremy Dibble z Durham (gdzie jest filia University of London) zaproponował nam uczestnictwo w programie TEMPUS, który był przeznaczony przede wszystkim dla krajów Europy Wschodniej (Polska, Węgry, Rumunia, Bułgaria, Jugosławia). Był on dla nas wielką pomocą w wieku dziecinach:

1. Program ten pozwolił na semestralne lub półroczne wyjazdy do zachodnich krajów europejskich kilkudziesięciu(!) studentom i doktorantom naszej katedry na uzupełnianie studia, głównie do Wielkiej Brytanii, Irlandii i tam, gdzie były prowadzone specjalne kursy angielskojęzyczne, lub – zwłaszcza jeśli doktoranci znali dany język – do Włoch, Niemiec lub Francji.

2. Studenci zyskali nie tylko merytorycznie, studiując u różnej rangi profesorów, lecz także wydoskonalili język obcy.

3. Jednym z zadań programu TEMPUS było przygotowanie programu zajęć do systemu studiów dwustopniowych oraz przystosowanie punktacji poszczególnych zajęć do systemu europejskiego, co okazało się wcale nie takie proste. Jednak nasza katedra była pierwszą w Polsce, która wprowadziła ten nowy system.

¹¹ Na przykład seminarium ze średniowiecza i renesansu prowadził dr Jerzy Morawski, a seminarium estetyki muzyki prof. Michał Bristiger.

4. Wielką pomocą w prowadzeniu dydaktyki była możliwość zakupu z funduszy TEMPUS wielu aparatów audiowizualnych oraz kilku komputerów, które zapoczątkowały późniejszą pracownię komputerową dla studentów.

5. Na zakończenie programu prof. Dibble zorganizował rodzaj sprawdzianu dla studentów z tego, czego się nauczyli w czasie pobytu za granicą. Nie pamiętam, czy studenci otrzymywali tam jakieś oceny, natomiast prof. Dibble przysłał mi list (oraz nagranie) z gratulacjami, że nasi studenci reprezentowali najwyższy poziom wykształcenia na tle studentów z pozostałych krajów biorących udział w programie.

Wspomnę jeszcze o jednej inicjatywie. W 1984 roku przenieśliśmy do Krakowa (uprzednio już zorganizowane w Poznaniu) seminarium muzykologiczne o zasięgu ogólnopolskim, a nawet z udziałem obcokrajowców znających język polski. W zasadzie było to seminarium dla ludzi posiadających co najmniej magisterium, ale uczestniczyli w nim zarówno doktorzy, jak i muzykolodzy z wyższymi stopniami, nie tylko z Krakowa, lecz także m.in. z Gdańska, Lublina, Łodzi, Poznania, Warszawy¹². Było ono otwarte dla wszystkich. Sądząc po uczestnikach z całej niemal Polski, wydaje się, że seminarium to stanowiło dobrą szkołę i oswojenie się z publicznym występowaniem i dyskutowaniem na różne tematy. Każdy z uczestników musiał przedstawić referat (głównie na tematy muzyki staropolskiej), a także obowiązkowo zabrać głos w dyskusji po każdym referacie. Od roku 1991, ze względu na drastyczne podwyżki hoteli (każde seminarium trwało zawsze dwa lub trzy dni) i biletów kolejowych, seminarium nie mogło się już odbywać.

Na zakończenie – by powrócić jeszcze do 1971 roku, kiedy to zostałem kierownikiem katedry – chcę powiedzieć o problemie związanym z prowadzeniem seminarium magisterskiego. W tamtym mianowicie czasie, obok wykładów, których przygotowywanie zabierało mi mnóstwo czasu, rozpocząłem prowadzenie prac magisterskich, czego nigdy dotąd nie robiłem. Nie chciałem jednak prowadzić seminarium na zasadzie, że po kolei studenci czytali jakieś fragmenty swych prac magisterskich, które się wspólnie omawiało, bo w praktyce ograniczało się to do rozmowy prowadzącego z referentem, a reszta studentów się nudziła, bo aby zabrać głos w dyskusji, każdy z nich musiałby być wprowadzony w problematykę wszystkich prac magisterskich z danego seminarium, a czasami rozrzut tematów był bardzo szeroki. Postanowiłem więc zrobić eksperyment, który

¹² Uczestnikami seminarium byli: Iwona Babioch, Charles E. Brewer, Stanisław Czajkowski, Tomasz Czepiel, Zofia Dobrzańska-Fabiańska, Grażyna Hryniewicz, Tomasz Jasiński, Jan Kazem-Bek, Wiesław Lisecki, ks. Karol Mrowiec, Ewa Orłowska-Storkaas, Aleksandra Patalas, Remigiusz Pośpiech, Piotr Poźniak, Violetta Pietrusiewicz, Barbara Przybyszewska-Jarmińska, Wanda Rutkowska, Irena Stachel, Anna Szweykowska, Alicja Wardęcka-Gościńska, Ryszard Wieczorek.

wprawdzie zajął mi więcej czasu, lecz zmobilizował studentów do intensywniejszej, bardziej merytorycznej i dla nich ciekawszej pracy.

Czytanie i omawianie prac magisterskich przesunąłem do konsultacji indywidualnych, a gdy jakaś praca była już na ukończeniu, to fragmenty niektórych prac czytane były na seminarium (ale nie częściej jak raz lub dwa razy w ciągu semestru). W ten sposób student mógł spokojnie – konsultując się ze mną – pracować nad dysertacją magisterską i brać czynny udział w seminarium. Postanowiłem bowiem prowadzić seminarium tematyczne. Wybierałem więc ramowy temat dla wszystkich seminarzystów, a na początku roku przydzielałem im szczegółowe tematy referatów mieszczące się w głównym temacie (na cały rok, czasami tylko na dany semestr, ale zawsze z wyprzedzeniem co najmniej kilkutygodniowym), równocześnie określając terminy ich wygłoszenia. Tematy dotyczyły wtedy głównie wokalne muzyki włoskiej pierwszej połowy XVII wieku. Zasadniczą rzeczą było, że poza głównym referentem każdy ze studentów musiał zapoznać się z tematem, zajrzeć do literatury, przeanalizować utwór lub utwory, ponieważ po odczytaniu referatu każdy uczestnik seminarium – jak wspomniałem – musiał zabrać głos w dyskusji. Przedmiot dyskusji nie był ograniczony. Można było zabierać głos zarówno w kwestiach merytorycznych, jak i na temat logiczności wywodu, porządku przedstawienia kolejnych problemów, metody analizy, a nawet stylu i jasności (lub niejasności) wypowiedzi. W ten sposób przedmiot dyskusji był tak rozszerzony, że referat mógł być bardzo wszechstronnie omówiony. Ten sposób prowadzenia seminarium tematycznego był na tyle inspirujący studentów do rzetelnej pracy, że wielu z nich mogło opublikować drukiem rezultaty swej pracy.

Pięćdziesiąt pięć lat pracy uniwersyteckiej to prawie całe moje życie, a przynajmniej okres największej aktywności naukowej – czas ustawicznego zdobywania wiedzy oraz ciągle nowych doświadczeń, które starałem się najskrupulatniej przekazywać studentom i kolegom.

SUMMARY

Zygmunt M. Szweykowski (born in 1929 in Kraków), an eminent scholar and doyen of Polish musicology, shares his memories of his postwar studies and first years of university work in Poznań and a long period of teaching and scholarly activity at the Jagiel-

lonian University in Kraków. He remembers the personages of older musicologists (e.g. Tadeusz Strumiłło), and his masters (inter alia Adolf Chybiński), presents the picture of numerous determinants during the People's Poland period and during the subsequent political-system transformations, describes the development of the Jagiellonian University's Institute of Musicology over several decades, discusses in detail the teaching innovations he has introduced, and finally recalls various episodes of university life, occasionally embellished with anecdotes. Professor Z. M. Szweykowski's autobiographical story is an interesting contribution to the history of Polish musicology in the second half of the twentieth century.